

ZYGMUNT WYROBEK
O ŁAKOMCZUCHU
NIEJADCE
I BRUDASKU



KSIEGARNIA ŚW. WACIECHA.



ZYGMUNT WYROBEK

O ŁAKOMCZUCHU, NIEJADCE I BRUDASKU

(ZESZYT I-Y Z CYKLU „SŁUCHAJ MAMUSI”)

Z ILUSTRACJAMI MIECZYŚŁAWA
WYROBKA I WINIETĄ OKŁAD-
KOWĄ STAN. SAWICZEWSKIEGO



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ . . . WARSZAWA . . . WILNO

WYKONANE W ZAKŁADACH
LITOGRAFICZNYCH
DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA



399452/
92

2/352/92

O ŁAKOMYM KUBUSIU

Mógłbym spisać
Całe tomy,
Jaki Kubuś
Jest łakomy.
Niema rady
Na Kubusia!
Łaje ciocia
I mamusia,
Tatuś łaje...
Czyż to miło?
Lecz bez skutku,
Jest — jak było!
Nieraz w kuchni
Jak kucharka
Do każdego
Patrzy garnka,
Że aż stara
Maciejowa
Wszystko przed nim
Kryje, chowa...
Rękę wsunie
Do koszyka,
Porwie jabłko
I umyka...



Niesie Basia
Dwa sagany,
On już z palcem
Do śmietany,
Potem palec
Oblizuje
I nie czuje
Jak to brzydko!
Czy kto widzi,
Czy nie widzi,
Kubuś nawet
Się nie wstydzi!
Och! łakomiec
Z niego wielki!
Gdy zaś ujrzy
Gdzie karmelki
Albo słoik
Konfitury,
To wyłazi
Wprost ze skóry!
Albo ujrzy
Legominę...
To tak brzydko
Łyka ślinkę,

Tak dokoła
Stół obchodzi,
Tak oczami
Za nią wodzi
Aż pfe! Dostał –
To tak zmiata,
Jakby nie jadł
Ze trzy lata!
Przebrała się
Wreszcie miara.
Oto stara
Maciejowa
Poszła schować
Udziec sarni
Do spiżarni.
Kubuś dojrzał
Szereg słoí,
Już na czatach
U drzwi stoi...
Potem cicho,
Pokryjomu,
Ani słówka
Mówiąc komu,
Sunie cicho
Jak pantera,
Pomalutku
Drzwi otwiera
I przycupnął
Gdzieś w komorze
Jak mysz w norze.
A na półkach



Rzędem stały
Wyśmienite
Specjały:
Z dziewięć paczek
Czekolady,
Cztery garnki
Marmolady,
Z konfitura
Tu słoiki
A tam ciastka
I pierniki,
Tu znów świeży
Serek leży,
Obwarzanków
Dwa wianuszki,
Tuż suszone
Leżą gruszki...
Tak wygląda
Wszystko smacznie!
Lecz od czego
Kubuś zacznie?
Wprawdzie wszystko
Wabi oko,
Ale leży
Zbyt wysoko!
Przecież w rogu
Tej komory
Stał dość nisko
Garnek spory.
Kubuś patrzy,
Medytuje,

Już się naprzód
Oblizuje...
Co też on tam
W sobie kryje?
Dałby szyję,
Że z pewnością
Garnek który
Mieści w sobie
Konfitury!
Trzeba przeto
Na miseczkę
Wyjąć z garnka
Choć troszeczkę...
Więc przy półce
Staje zbliśka,
Ręce wznosi,
Garnek ściska,
Potem garnek
Zsuwa zwolna...
Ciężka praca
I mozolna!
Garnek ciężki,
Dużo waży,
Że aż Kubuś
Zbladł na twarzy.
Nagle garnek
W dół się chyli,
W tejże chwili
Obraca się
Dnem do góry
I nadomiar

Awantury
Skoczył z półki
Jakby żywy
Hyc! — Powidła
Z pod pokrywy,
Jakbyś kielnią
Chlusnął wapno,
Na Kubusia
Jak nie chlapną,
Jak nie bryzgną
Prosto w oczy...
A sam garnek
Jak nie skoczy...
Nie dość biedzie —
Na głowinę
Jak nie wjedzie!...
Dość, że Kubuś
Jak we zbroi
W hełmie stoi,
Niby cały
Niby zdrowy
Lecz bez głowy!
Gwałtu, rety!
Co się stało?
Nagle w oczach
Pociemniało,
Twarz się w lepkiej
Mazi pławi,
Coś go dławi,
Jakaś masa
Lepka, śliska...

Jakaś obręcz
Głowę ściska...
Nic nie widzi
Nic nie słyszy
Ledwie dyszy,
Bo nieboże
Prawie złapać
Tchu nie może!
Rączętami
Wkoło maca...
Próżna praca!
Powidłami
Uwalany
Tylko garnkiem
Tłucze w ściany!

Ciocia Frania
Szmery słyszy
I tak myśli:
Może myszy?
Może szczury?
Albo może
Z kotów który
Tam wyprawia
Awantury?
Może złodziej?
Boże drogi!!
W mig na równe
Wstaje nogi
I do walki
Już gotowa

Woła głośno:
„Maciejowa!
„Tam w spiżarni
„Coś się tłucze!
„Gdzie są klucze?“
Mądrej głowie
Dość dwa słowa,
Więc się zrywa
Maciejowa
I złodzieja
Złapać rada
Do spiżarni

Się podkrada...
Za plecami
Maciejowej
Kroczy dalszy
Szyk bojowy:
Naprzód Basia,
W ręce szczotka...
Za nią ciotka...
Bój się cioci
Nie uśmiecha,
Chociaż w ręce
Tkwi warzecha.

Cicho stąpa
Cała trójca...
A nuż z za drzwi
Groźny zbójca
Nagle skoczy
I przebije??
Ciocia Frania
Ledwie żyje!

.....
.....



Pod spizarnię
Doszły właśnie
Nagle ciocia
Jak nie wrzaśnie!...
Wszystkie razem
Z wielkim krzykiem,
Z Maciejową
Pułkownikiem,
Drżące, zimnym
Potem złane
Uskoczyły
Popod ścianę!
Ledwie z trwogi
Nie umarły,
Bo się nagle
Drzwi otwarły
I w drzwiach stanął

Jako żywo!
Strach jakowyś,
Jakieś dziwo,
Bo bez głowy!
Któż zaręczy
Czy nie strzyga,
Bo tak jęczy?
Lecz odgadła
Maciejowa,
Co ten garnek
W sobie chowa,
Bo choć dziwo
Jest bez głowy



Lecz głos słyhać
Kubusiowy!
Co tchu garnek
Zdjąć się musi,
Bo się Kubuś
Wnet zadusi...
Maciejowa

Chwyta żwawo,
Kręci garnkiem
W lewo, w prawo,
Kubusiowi
Rwą się uszy
Lecz się garnek
Ani ruszy!

Chce go rozbić
Maciejowa
Lecz nuż z garnkiem
Pęknie głowa?
Co z tym garnkiem
Ambarasu,
Lecz i zwlekać



Niema czasu!
Maciejowa
Strachem zdjęta
Chwyta krzepko
Za nóżęta
Rozkraczone,
Ciocia ciągnie

W drugą stronę...
Wreszcie z trudem
Jak ślimaka
Wyciągnęli
Nieboraka!
Byłóż wstydu,
Byłóż bólu...

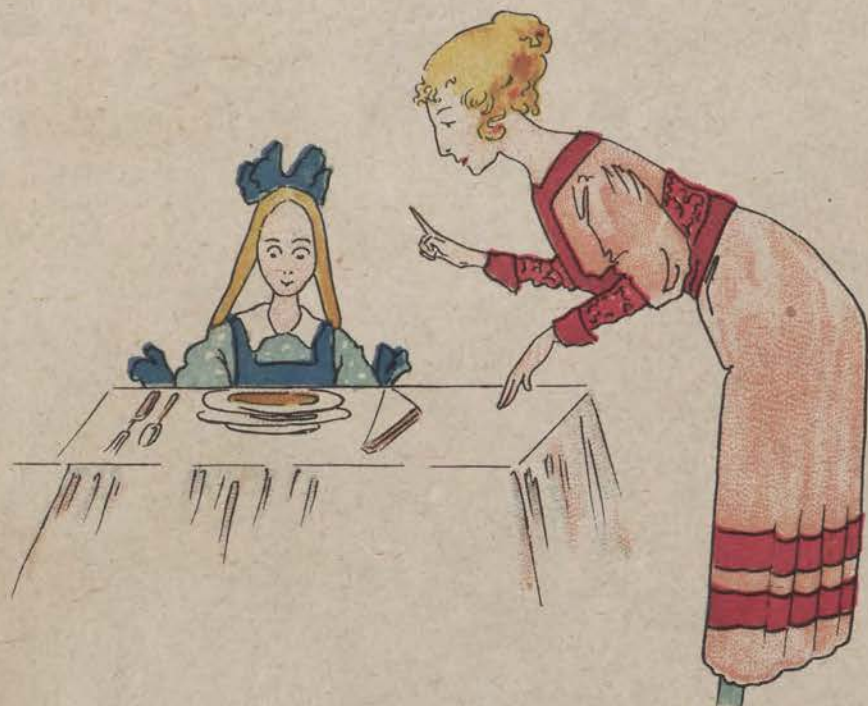
W głowie huczy
Jakby w ulu...
Byłóż płaczu,
Narzekania
A kłopotu!
Ciocia Frania
Wymydliła

Kilo mydła,
By z Kubusia
Zmyć powidła!
Było przytem
Też lamentu...
Lecz od tego
Już momentu
Nie poznałby
Nikt Kubusia!
Rada z synka
Jest mamusia,
Miły cioci,
Miły Basi,
Nie łakomy,



Nie grymasi
Nic go w oczy
Już nie kole,
Taki grzeczny
Jest przy stole...
Maciejowa
Niech wam powie!
Słowem — grzeczny
Co się zowie!

O HANI NIEJADCE

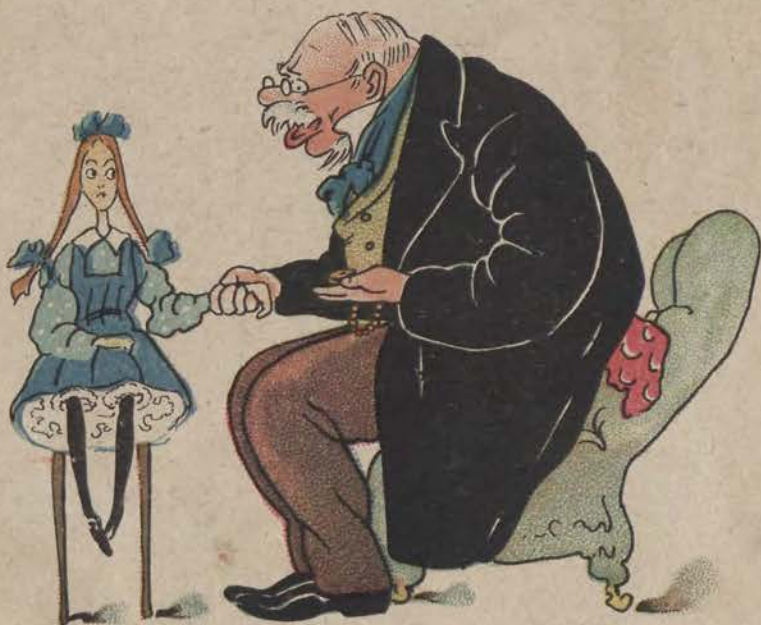


Już podano do śniadania.
Przy stoliczku siedzi Hania,
Przed nią mleczka filiżanka
I z maselkiem pyszna grzanka.
Na śniadanko w całym świecie
Nic lepszego nie znajdziecie!
Ale Hania jeść się wzbrania...
Ledwie mleczka coś uchlipie,
Ledwie grzanki coś uszczypie

Już ma dosyć, nie chce więcej,
I tak już jest od miesięcy.
Przy obiedzie znów to samo:
„Już dziękuję, moja mamo!”
Jest na obiad sztuka mięsa,
Hania nie zje ani kęsa,
Potem legominka słodka
Naleśniki lub szarlotka
Albo ciastka lub kompoty...

I na to nie ma ochoty!
Dano kaszkę na wieczerze,
Znów nietkniętą się zabierze!
„Czyste Boskie z nią skaranie!
„Czemże żywić naszą Hanię?“
— Gdera stara Tomaszowa —
„Niech cię, Haniu, Bóg zachowa,
„Jeszcze, nie daj Boże, kiedy
„Napytasz się, Haniu, biedy,
„A jak kto już bardzo chory,
„Nie pomogą i doktory!“
Tak to w kuchni u koinina
Tomaszowa ją zaklina,
Ale z Hanią stare dzieje,
Jak nie jadła, tak i nie je.

No, i cóż się wreszcie dzieje?
Hania z dnia na dzień szczupleje,
Co dnia w Hani większa zmiana:
Dawniej pulchna i rumiana
Zdrowiuteńka wprost panienska,
Jak badylek dzisiaj cienka
Tak, że nieraz zda się mamie,
Iż ją lada wietrzyk złamie.
Próżno mama prosi, błaga,
Próżno łaje — nie pomaga!
Hani buzia w głąb zapada,
Wkońcu jest jak obrus błada.
Gdy się ciągle to powtarza,
Mama prosi konsyljarza.
Przyszedł doktor łysy, stary,



Wsadził na nos okulary
I zegarek wyjął wielki
Z kamizelki, z aksamitu:
„Hania nie ma apetytu?
„Nic jeść nie chce, ciągle pości?
„Główka boli, bolą kości?
„Hm, hm — zaraz się zobaczy
„Gdzie choroba, co to znaczy!“
Wyjął trąbkę, słucha, puka
I choroby w Hani szuka.
Ciężka praca konsyljarza!...
Wyjął pióro z kałamarza
I zapisał napój gorzki
I pigułki, wreszcie proszki,
Wkońcu spojrzął na zegarek,
Poszedł — a wziął tysiąc marek.
Ale z Hanią stare dzieje:
Jak nie jadła, tak i nie je...
Wreszcie nasza panienczka
Tak cieniutka jak niteczka,
Żebyście jej nie poznali!
Lecz słuchajcie tylko dalej...

Właśnie mama po obiedzie
Na przechadzkę Hanię wiedzie.
Tyle wkoło zdrowych dzieciak
I rumianych, czerstwych liczek,
Hania błada jak opłatek
I szczuplutka jak patyczek.
Mamie się aż serce kraje,
Dopiero kęs uszły drogi
A już Hania wciąż przystaje,



Ledwie bowiem wlecze nogi.
Więc, by spocząć choć troszeczkę
Sadza Hanię na ławeczkę.
Aż tu słychać dzieci krzyki:
„Baloniki! baloniki!“
Baloniki kupiec niesie,
Trzyma w ręce jak na smyczy,
A gromadka dzieci drze się,

Klaska w ręce, skacze, krzyczy
I dziewczynki i chłopczyki...
Bo też cudne baloniki!
Tu niebieskie, tam zielone
Fioletowe i czerwone.
Kupiec trzymał wszystkie w górze

Na konopnym, mocnym sznurze,
Teraz zniżył. W głów gęstwinie
Barwna wstęga wolno płynie
Niby wianek główki wieńczy,
Lśnią barwami cudnej tęczy.
Hania jakby wniebowzięta!

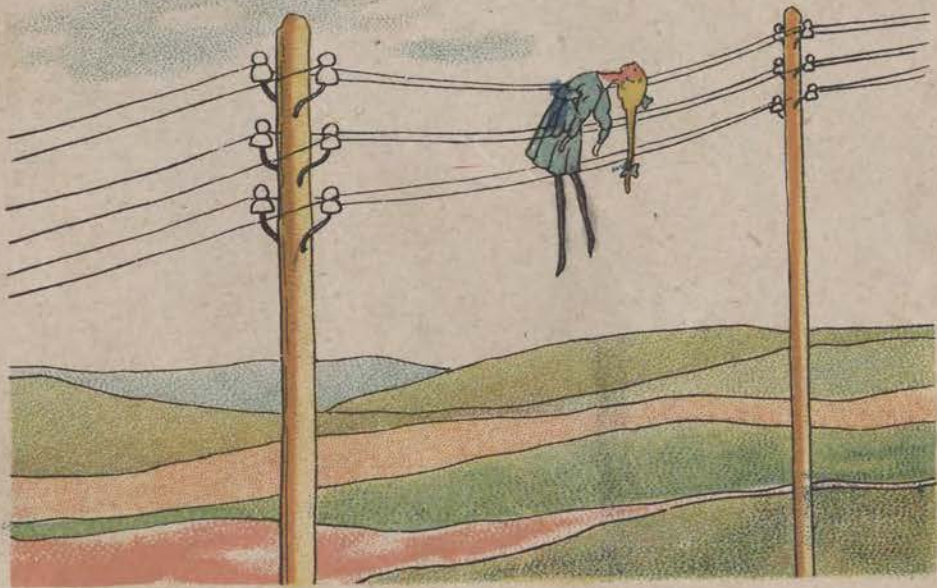


Śmieją się jej twarz, oczęta...
„Nie chcę“ — woła — „pieska, kota
„Nie chcę mojej lalki Mani
„Tylko mamciu, moja złota,
„Kup balonik swojej Hani!“



I tak czule, słodko mówi...
Któraż mama wam odmówi?
Prędki koniec był radości!
Kto jak Hania ciągle pości,
Ten ze szczupłą swą figurką
Lekki wkońcu niby piórko —
Więc gdy nagle wiatr się zerwał
Balon w górę się poderwał
I z pomiędzy dzieci grona
Porwał Hanię jak źdźbło trawy...
Mama stoi przerażona,
Dzieci krzyczą — pośród wrzawy
Krzyków, płaczu, wołań, pisku
Tłum się kłębi jak w mrowisku,
Mama mdleje, krzyczą dzieci
A nieszczęsna Hania leci...
I wciąż wznosi się ku górze
Na cieniutkim wisząc sznurze
Za szczupłutkie swe ramiona





Jak na wędce ucepiona...
Chude nóżki na dół wiszą,
Jak wahadło się kołyszą,
O latarnię zawadziły,
Wszystkie szyby w niej wybiły,
Potem znów na dzieci główki
Lecą z trzaskiem w dół dachówki...
A wiatr niesie biedną Hanię...
Wielki Boże — cóż się stanie?

Gdy tak leci, trzeba trafu,
Że się w drutach telegrafu
Jakby w sieci, do pół ciała
Z balonikiem zaplątała.
Pędzą ludzie z wielką wrzawą
Jeden w lewo, drugi w prawo
I co tylko może który,
Niesie — drągi, żerdzie, sznury,
Wozem, konno albo pieszo

Na ratunek Hani spieszą...
Lecz choć każdy jest gotowy,
Jak dojsć do niej? — Ani mowy!
Więc któż Hanię nam ocali?
Wtem gdzieś trąbkę słycać w dali...
Wóz z za węgła się wynurza,
Konie pędzą wskok jak burza,
Każdy się pod ściany chowa,
Bo to pędzi straż ogniowa!

Już są blisko — już przystają —
Już drabinę wysuwają,
Już po szczeblach strażak młody
Stąpa śmiało, jak na schody...
Choć niełatwe to zadanie
Po drabinie znieść w dół Hanię,
Lecz mu przecież się udało
Znieść Haneczkę zdrową, całą!
Choć ze strachu ledwie żyje



Mamie rzuca się na szyję,
Strażakowi za ratunek
Daje słodki pocałunek...
I pytacie mnie — co dalej?
To — żebyście nie poznali
Naszej Hani. Tomaszowa
To z radości aż różowa!
Patrzy z dumą i zachwytem
Z jakim Hania apetytem
Wszystko zmiata wprost z talerzy
W mig, co tylko na nich leży —
Czy pierogi, czy kluseczki
Nie zostawi ni troszeczki.
A i to wam jeszcze zdradzę
Że przybyło jej na wadze,
Bo utyła znakomicie
Jak z obrazka to widzicie.



O HIPCIU BRUDASKU

Co za wrzaski,
Co za ryki
Jakby w puszczach
Ameryki!
Czy to dziki
Osioł kwiczy?
Czy to puma
Wściekle ryczy?
Może rudy
Wyjec wyje?
Nie! — Hipciowi
Myją szyję!
Chociaż brudu
Na dwa cale,
Hipcio nie chce
Myć się wcale.
Ujrzał mydło
I miednicę...
Buch! w otwartą
Okiennicę
I w stodółce
Skrzył się w siano.
Tam go właśnie
Przylapano.



Wiodą zbiega
Już za rękę...
Hipcio idzie
Jak na mękę,
Bowiem brudny
Hipolitek
Myśli: woda
Czysty zbytek!

Więc się broni
I opiera
A tak strasznie
Się wydziera,
Że aż wiedzą
Na ulicy,
Że to Hipcio
Przy miednicy!
A co pracy,
A co trudu,
Żeby Hipcia
Wymyć z brudu!
Jak się zmęczy
I Dorota,
By go wymyć
Z tego błota!
Tak się dzieje
Też co rano,
Aż Brudaskiem
Go nazwano.
Wreszcie nawet
Dla Doroty
Dosyć było
Tej roboty



I tak łaje
Hipolitka:
„Wciąż przy myciu
„Z tobą bitka!
„Będiesz robić
„Awantury,
„To obłupią
„Cię ze skóry
„I oddadzą
„Ją do prania!
„Nie pomogą
„Ci błagania!

„W pralni skórę
„Wyszorują,
„Potem w magli
„Wymaglują;
„Wyciągnie się
„Niby glista
„A już wtedy
„Będzie czysta!“
Hipcio słucha,
Zbladł jak chusta
I szeroko
Otwarł usta,

Niby wrota.
„Eh! to straszy
„Tak Dorota!
„Nigdy temu
„Nie uwierzę —
„Przecie skóry
„Się nie pierze!“
A wieczorem,
Z wyśmienitym
Już humorem
Wypił swoją
Szkłankę mleczka



I spać poszedł
 Do łóżeczka.
 Już jest w łóżku
 Już spoczywa,
 Już Dorota
 Go okrywa...
 Ledwie oczy
 Już otwiera...
 Coraz bardziej
 Sen go zbiera...

 Wtedy cicho
 Jakieś лихо,

Mglista, szara
 Senna mara
 Czy widziadło
 Skądś spadło:
 Jakiś straszny
 Łeb bandyty
 Tak zakryty,
 Że jedynie
 Z całej głowy
 Nochal sterczy
 Jak dziób sowy...
 Hipcio wszystek
 Drży jak listek
 Chciałby uciec

Do mamusi,
 Lecz coś trzyma,
 Coś go dusi,
 Ręce, nogi
 Jak w obręczy,
 Tylko jęczy...
 Wtem widziadło
 We mgle szarej
 Gdzieś przepadło...

A nasz Hipcio
 Idzie lasem
 Podśpiewując
 Sobie czasem.
 Ktoby poznał

Hipolitka?
Szyja brudna,
Buzia brzydka,
Nieumyty,
Rozzochrany
Jakby błotem
Umazany...
I tak myśli:
„A cóż szkodzi
„Trochę błota,
„Kiedy znikła
„Gdzieś Dorota!
„Chociaż błotem
„Się umażę,
„Poco się myć?
„Nikt nie każe!“
Więc wesoly
Nasz Brudasek
Bez przeszkody
Zaszedł w lasek.

Właśnie w środku
Lasku stała
Wielka skała.
Tuż za skałą
Słysząc głosy...
Zjeżyły się
Chłopcowi włosy,
Stoi cicho
Nasłuchuje...
Wtem dwa zbóje
Jak dwa rysie
Rzuciły się
Z wielkim wrzaskiem
Za Brudaskiem!
Dwaj bandyci
Tak zakryci,
Że jedynie
Z całej głowy
Nochal sterczy
Jak dziób sowy...

Groźne miny
I pasiaste
Peleryny,
Wściekle oczy,
Srogie lica,
Noże w rękach
Lub króćca
A na czapce
Długa kitka!
Już — już łapią
Hipolitka..
Ale Hipcio
Wrzasnął z trwogi,
Dalej w nogi!
Stanęły mu
Dębem włosy,
Bo tuż za nim
Zbójców głosy,
Głosy grube
I ponure:





„Dawaj swoją
 „Brudną skórę!“
 Niby jeleń
 Hipcio sadzi,
 Nagle o głaz
 Jak zawadzi!..
 — Legł jak długi —
 W tejże chwili
 Już go zbójcy
 Przycapili
 Jak pająki
 Biedną muchę...
 Jeden sięgnął
 Za pazuchę,
 Dobył noża,
 Nadciął skóry,
 Drugi schwycił
 Ją w pazury
 I nie bacząc
 Na krzyk, bóle

Ściągnął skórę
 Jak koszulę!
 Biedny Hipcio
 Tak żałuje,
 Że się nie mył
 A dwaj zbójce
 Skórę na kij
 Zrzucili,
 Hipcia w polu
 Zostawili.
 Lecz Hipciowi
 Choć go boli,
 Chociaż przeszedł
 Mimowoli
 Operację
 Tak niemiłą,
 Żal za skórą
 Się zrobiło.
 Choć mu serce
 Młotem wali,

Za swą skórą
 Poszedł dalej...
 Nie wie — że ci
 Zbójcy skalni
 Niosą skórę
 Do swej pralni!

.

Bryzga z balji
 Biała piana,
 Ale patrzcie
 Jaka zmiana:
 Dopiero co
 Była biała
 A już całkiem
 Poczerniała!
 Wylewają
 Brudną strugą
 Jedną konew,
 Potem drugą...
 Skąd się takie

Brudy biorą?
To Hipciową
Skórę piorą!

Już u sznura
Wisi skóra
Już się suszy,
Hipcio dość ma
Tej katuszy,
Siedzi z boku,
Wszystko widzi,
Po raz pierwszy
Tak się wstydzi,
Że jeśliby
Miał swą skórę,
Za dziesiątą
Gnałby górę!
I przyrzeka
Sobie w duszy,
Że jak skóra

Się wysuszy,
Jak się skończy
Wreszcie pranie
I jak skórę
Znów dostanie,
Że — naprawdę
Zawsze, wszędzie
Bez oporu
Myć się będzie.
Lecz się baby
— Gwałtu, rety! —
Do Hipciowej
Toalety
Biorą właśnie...
Hipcio z bólu
Jak nie wrzaśnie,
Jak nie skoczy...

Hipcio nagle
Otwarł oczy...
Wszystko znikło!
I ze sznura
Znikła skóra,
I dwaj zbójcy
W jednej chwili
Gdzieś się skryli...
Patrzy wkoło
A w pokoju
Tak wesoło!
Słonko złote
Świeci jasno
Na Dorotę...
„Cóż to?“ — woła
„Cóż to było?
„Ach! — to tylko





„Mi się śniło!”
Ale Hipcio
Sen pamięta.
Jak z zająca
Skóra zdjęta
Wciąż mu stoi
Przed oczami
Razem z dwoma
Bandytami.
Więc jak żrebak
Skacze młody
I — do wody!
Biegnać woła:
„Wiesz, Doroto,
„Proszę cię dziś
„Bardzo o to:
„Ja już dzisiaj
„Brudną szyję
„Bez pomocy
„Sam wymyję!”

Teraz Hipcio
Wart pochwały,
Taki zawsze
Czysty, biały —

A mam mocne
Przekonanie,
Że na zawsze
Tak zostanie —
Tak wygląda
Czysto, ładnie!



Teraz, dzieci,
Kto z was zgadnie
Jaki koniec
Tej powieści?
To — że mama
Tak go pieści
Tak całuje,
Tak go głaska...
Bo już w Hipciu
Nic — z Brudaska!

50 000, —

